

Ach, te baby...

TEATR IM. JARACZA „Bang Bang” bywa efektowne, czasem nawet ożywczo bezczelne, częściej jednak żenuje stylem żartów i przesłaniem na poziomie feministycznej agitki



MAGDA HUECKEL

Jacek Wakar, Polskie Radio

Spektakl w łódzkim Teatrze Jaracza jest reżyserskim debiutem Dominiki Knapik. No, może prawie debiutem, gdyż w 2011 roku zrealizowała w Łaźni Nowej w Krakowie „Testament optymisty” Mrożka. Na polskim teatrze ostatnich lat odcisnęła jednak piętno jako choreograf, pracując choćby z Mają Kleczewską i wielokrotnie z Ewelina Marciniak. To zrozumiałe, że taka zaprawa podpowiedziała Knapik, że już czas, by wziąć odpowiedzialność za całość.

Materiał młoda artystka wybrała umiejętnie, w końcu nie bez przyczyny „Thelma i Louise” do dziś uznawana jest za dzieło niemal w każdym calu spełnione. Zapamiętałem je dzięki świetnym rolom Susan Sarandon oraz Geeny Davis i ich energii prawie rozsadzającej ekran. Było

to idealne kino środka – pięknie atrakcyjne, ale formułujące wprost ważne przesłanie. Przedstawienie Knapik oparte jest na tekście Tomasza Jękota, a ten ze scenariusza Callie Khouri wziął bohaterki, a także motyw ich podróży. Tyle że w łódzkim przedstawieniu odbywa się ona w manifestacyjnie umownej scenografii Mirka Kaczmarka, stworzonej przede wszystkim z gąbkowych materaców. Do tego stały arsenał wizualny nowego polskiego teatru, czyli wideoprojekcje. No i Daniel Pigoński grający na żywo we wnęce sceny, „Bang Bang” udaje bowiem coś na kształt skromnego musicalu. To znaczy, że słyszymy w nim kilka piosenek śpiewanych bardzo dobrze przez Iwonę Karlicką i Milenę Lisiecką. Piosenki też są bardzo dobre, nadają spektaklowi rytm i energię.

Kłopot w tym, że Knapik zatrzymuje się na poziomie

grepsów, co chwila podkreślając, że to jedynie zabawa, jesteśmy w teatrze, pokazujemy wszystkie sceniczne szwy i niedoróbki. Bywa to nawet zabawne, ale po jakimś czasie staje się nużące. Wydaje się ucieczką reżyserki przed istotą „Thelmy i Louise” – opowieści o dążeniu do wolności za wszelką cenę, ponad przypisanymi przez społeczeństwo i rodzinę rolami.

U Knapik Thelmą jest Izabela Noszczyk, Louisą – Milena Lisiecka. Aktorki świetne, tym razem pokazujące na scenie komediowy pazur. Jednak w „Bang Bang” ich umiejętności zdają się ważne, ale nie najważniejsze. Liczy się wizerunek obu aktorek, eksponowanie ich bujnych sylwetek cielistymi trykotami, w kulminacyjnej scenie z doczepionymi piersiami i ciemnym gąszczem między nogami.

Takie to właśnie przedstawienie. Chwilami efektow-

ne, przede wszystkim w sekwencjach, gdy Iwona Karlicka (świetna jako Hal) chwyta za mikrofon i zaczyna śpiewać. Czasem ożywczo bezczelne, bo widać, że Dominice Knapik nie brakuje odwagi, by kpić z oczekiwań widzów i iść w rozwiązania celowo kiczowate, niekiedy nawet rodem z campowego kina.

Niestety, wszystko to nie układa się w spójną całość, niektóre żarty wprawiają w zakłopotanie. Na koniec zaś rzecz zostaje sprowadzona do wymiaru feministycznej agitki. Że Knapik oddaje głos cipce? No cóż, to już było. Gorzej z naczelną myślą, łatwą do streszczenia w haśle: nawet baby potrafią i mają prawo do szczęścia. Potrafią i mają prawo. I zasługują na nieco lepszy teatr.

©

„Bang Bang” Tomasza Jękota

| reżyseria: Dominika Knapik |

Teatr Jaracza w Łodzi

